

GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507 - 9996

Nr 81

MARZEC - KWIECIEŃ

2007 r.



BIULETYN KLUBU "PODOLE" TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW PŁD. WSCHODNICH W WARSZAWIE

"Głosy Podolan"

Biuletyn Klubu "PODOLE" Stołecznego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Zespół Redakcyjny:

Irena Kotowicz Redaktor Naczelny, Wiesław Barczyk, Antoni Gołębiowski, Jerzy Stopa.

ISSN 1507-9996

Adres Redakcji:

Irena Kotowicz
ul. Narbutta 37 m 11
02-536 Warszawa
tel. (022) 849-87-58

Nowe konto bankowe:

Klub "Podole" TML i KPW
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64
PKO BP VI O/Warszawa
Nr 87 1020 1068 0000 1902 0060 9651

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Na okładce: Okopy św. Trójcy. Baszta Puławskiego.



Druk i oprawa: Zakład Wydawnictw Statystycznych
al. Niepodległości 208, 00-925 Warszawa



Władysław Woźniak
Nysa

Magistrala Workuta-Peczora
(Wspomnienia z lat 1940 – 1942)
Cz. IV

Trzeciego dnia już od rana ogłaszano, że komisja lekarska działa ostatni dzień i kto nie zgłosi się do niej, pójdzie do karceru. Lepiej stać w kolejce niż całą noc spędzić w karcerze – pomyślałem – szybko zjadłem wieczorną zupę i pobiegłem pod biuro. Tu niespodzianka – w kolejce tylko 5 osób. Potem zgromadziło się kilkadziesiąt takich maruderów jak ja.

Po kilkunastu minutach stanąłem przed lekarzem. Pani w średnim wieku, o sympatycznym wyrazie twarzy, kazała mi się rozebrać i zapytała:

- Co ci dolega?
- Nic.

Opukała mnie, zajrzała do gardła i znów zapytała:

- Czy masz biegunkę?
- Nie.
- Nogi nie puchną?
- Nie.
- Odmrożeń nie masz?
- Nie.

Pomyślała chwilę i znów zapytała:

- Normę odrabiasz?
- Nie, nie odrabiam.
- Od jak dawna?
- Już miesiąc nie odrabiam, nie mam siły.

Musiałem się chyba zarumienić, bo powiedziała cicho: *Nie biespokojisia*, a potem głośno: *Ubieraj się!* To był lekarz z powołania. Wyszedłem zadowolony, że mam już badanie za sobą i poszedłem do baraku spać. W następnym dniu kułem zamrażniętą ziemię w przekopie koło Sarmaju, a trzeciego dnia ścinałem karłowate brzozy w lesotundrze. Wieczorem spotkałem przy kuchni Szwarca, buchaltera z Łodzi, którego poznałem w więzieniu w Bałcie. Pan Szwarz, starszy już człowiek, znał dobrze język rosyjski i zatrudniony był w tutejszym kantorze jako główny księgowy.

- No i cóż – spytał – odpoczywasz?
- Ładny mi odpoczynek, właśnie wróciłem z leSORÓBKI.

- Ależ ty przecież jesteś na liście słabosilnych (fizycznie wyczerpanych) i na dwa tygodnie zwolniony jesteś z pracy. Idź do kantoru i sprawdź! Powinni byli ciebie zawiadomić!

Pobiegnę do biura. Potwierdziły się słowa pana Szwarca. Gdyby nie on, chodziłbym dalej do pracy, dalej tracił siły, chudł i marzył. Lepiej zresztą nie myśleć co by było. Na razie mam prawie dwa tygodnie odpoczynku.

Wszystkich słabosilnych umieszczono w osobnym baraku. Było nas tam około 20-tu. Po tygodniu lekarz – tym razem mężczyzna – zbadał nas i zakwalifikował wszystkich na wyjazd do tzw. słabkomandy położonej nad rzeką Sarmaj.

Pojechaliśmy tam wieczorem pociągami, na platformie. Mróz był siarczysty, księżyc w pełni i wtedy zaobserwowaliśmy zjawisko atmosferyczne, które podziało na nas przygnębiająco. Zobaczyliśmy na niebie dwa jaśniejące słupy, przecinające się ma krzyż na tle księżyca. Pionowa linia krzyża sięgała od zenitu do horyzontu a pozioma od wschodu do zachodu. Ktoś powiedział, że to zapowiedź końca świata, ktoś inny wyjaśnił, że jest to zjawisko optyczne zwane "halo", które może mieć rozmaite kształty i występuje przy mroźnej pogodzie na skutek załamania się promieni świetlnych przez kryształki lodu w chmurach pierzastych.

Tymczasem przejechaliśmy Sarmaj i wysiedliśmy kilometr za rzeką. Po pół godzinie dotarliśmy do słabkomandy. Był to duży barak nazywany koniusznią, bo kiedyś stały tam konie. Składał się z dwóch części z kuchnią po środku. Nie był wkopany w ziemię, ale dobrze obłożony mchem. Znajdowali się tu ludzie z kilku sąsiednich łagpunktów, razem około 80 osób. Wśród nich Polacy i Rosjanie. Lekarz był Polakiem, a jego pomocnik – Morozow – Rosjaninem.

Spotkałem tu Jurka Bochnera, kolegę z czortkowskiego gimnazjum. Miłe to było spotkanie, choć w okolicznościach łagiernej nędzy i poniewierki. Od razu zaczęliśmy wspominać nasze szkolne czasy, kolegów, koleżanki i profesorów oraz nasz kochany Czortków w dolinie Seretu.

Dwa tygodnie wypoczynku szybko minęły i znów zaczęliśmy chodzić do pracy. Nie obowiązywała nas jednak norma, a czas pracy ograniczony był do 8 godzin. Chodziliśmy do lesotundry rąbać drzewo na opał. Nikt nas nie poganiał, kłopoty mieliśmy tylko ze śniegiem. Trzeba było bowiem odkopywać drzewa ze śniegu zanim się je ścięło, a warstwa śniegu dochodziła do dwóch metrów. Poza tym bardzo szybko robiło się ciemno, bo dzień grudniowy w arkty-

ce jest krótki. Słońce w ogóle nie wschodziło, tylko w godzinach popołudniowych szarzało na dworze.

Innym naszym zajęciem w lesie było obrabianie igieł z młodych pędów sosny, na tzw. cyngotne, czyli lek przeciw skorbutowi. Iglowie to parzono we wrzątku, odcędzono i dawano nam pić. W ten sposób dostarczano organizmowi witaminę C. Innym środkiem przeciw skorbutowi był kiełkujący groch oraz rzepa. Ale tych produktów tu nie było, więc piliśmy wywar z sosny. Był bardzo gorzki i nieprzyjemny, ale trzeba było ratować się. Na skorbut prawie każdy chorował. Jedni mieli opuchnięte ciało, innym chwiały się zęby lub występowały bóle mięśni i kości, pojawiały się krwawienia i otwieranie ran. U mnie potworzyły się na plecach i w pachwinach wrzody, a ślady po nich pozostały do dziś.

Inna chorobą była tu "kurza ślepotą", spowodowana brakiem witaminy A. Żałośnie wyglądała taka grupa "ślepców" wracających z pracy o zmierzchu. Szli gęsiego jeden za drugim, trzymając poprzednika za ramię. Na przedzie szedł ktoś zdrowy i prowadził całą grupę.

Wracając do naszych zajęć w słabkomandzie, to poza pracą w lesie, obsługiwaliśmy kuchnię nosząc wodę i drzewo na opał, a przez pewien czas do moich obowiązków należało gotowanie wody w wojskowym kotle parowym, zainstalowanym na zewnątrz budynku. Była to żmudna praca, gdyż przy niskich temperaturach powietrza woda zagotowywała się dopiero po kilku godzinach palenia pod kotłem.

Połowa mieszkańców słabkomandy ze względu na stan zdrowia nie wychodziła do pracy. Co dwa tygodnie przychodziła komisja lekarska i ludzi obłożnie chorych zabierała od nas.

Karmiono nas tu słabo – dostawaliśmy 70 dag chleba oraz kaszę robioną z żytnich krup. Najważniejsze, że praca nie była ciężka, nie wyczerpywała naszych wątłych sił, a podczas silnych mrozów do pracy nie chodziliśmy.

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia – druga na wygnaniu. Siedzieliśmy z Jurkiem na pryczy i każdy z nas myślał o swoich najbliższych i o tym, co nas jeszcze czeka. Ktoś zaintonował koledę. I popłynęła pieśń "Bóg się rodzi, moc truchleje...", "Dzisiaj w Betlejem...", "Lulajże Jezuniu..." i inne. Potem przyszedł do nas pomocnik lekarza Morozow i prosił, żebyśmy zaśpiewali "Uralu" to znaczy "Góralu czy ci nie żal..." . Bardzo lubił tę pieśń. Może przypominała mu rodzinne strony, może widoczny Ural, potężny i piękny, przywoływał wspomnienia z wolności? Nie dociekaliśmy tego.

Było w baraku trzech Rosjan – małolatków. Wszyscy trzej chorowali i do pracy nie wychodzili. Siedzieli na sąsiedniej pryczy i każdy z nich kaszlał na potęgę. Jeden co wieczór opowiadał kolegom powieść Aleksandra Dumas’a “Hrabia Monte Christo”. Trzeba przyznać, że opowiadał bardzo ładnie, z tak charakterystycznym rosyjskim patosem, choć powieść w jego interpretacji często niewiele miała wspólnego z oryginałem. Należało jednak być wyrozumiałym, przecież on nigdy tej powieści nie czytał a tylko słyszał, opowiadaną w domach dziecka, w poprawczakach, w więzieniach. Kiedy kończył, koledzy poprosili go by opowiedział jeszcze raz od początku. Snuła się więc dalej ta opowieść o grafie, którego los przypominał po trosze ich własny, przynajmniej w interpretacji ich kolegi.

Barak nasz nie posiadał zapretnej zony, ogrodzenia z drutu kolczastego, ani wyszki dla strażnika. Strażnik stał po prostu na dziedzińcu, naprzeciw drzwi do baraku.

Kiedyś jeden z małolatków coś przeszkrobał, a że karceru przy baraku nie było, postawiono go na stojce przy strażniku. Stał tam przy 50-stopniowym mrozie tylko w waciaku i więziennych rezinowych sapogach (gumowych butach) obok strażnika odzianego w baranią szubę, czapkę-uszatkę i ciepłe walonki – 3 godziny, gdy usłyszeliśmy strzał na alarm. Wskoczył na dziedziniec drugi strażnik, a my przez uchylone drzwi zobaczyliśmy, że nasz małolat rozebrany do naga, stoi na śniegu. Biedak użył tak drastycznego argumentu, ażeby przerwać stojkę. Strażnik zaprowadził go zaraz do baraku. Położyliśmy go na pryczy, okryliśmy czym się dało, przyniesiono mu kipiaterkę, ale biedak trząsał się w dreszczach i wył z bólu, a może z doznanej krzywdy.

Styczeń i luty, najzimniejsze i najcieńsze miesiące w arktyce, przeżyliśmy możliwie znośnie, bez większego uszczerbku dla zdrowia. Komisja lekarska uznała, że na tyle podreperowaliśmy swoje siły, aby znów rozpocząć pracę przy budowie linii kolejowej. Opuściliśmy więc słabkomandę i ruszyliśmy w drogę. Szliśmy pieszo, bo tory były zasypane śniegiem. Dookoła biel i słońce, które świeciło coraz dłużej.

Wróciliśmy na szósty łagpunkt. Jurek także był w tej grupie. Na drugi dzień posłano nas do czyszczenia torów ze śniegu. Śnieg i słońce raziły nasze oczy. Niektórzy zdobyli ciemne okulary, dla mnie zabrakło. I któregoś dnia zaczęły mnie oczy mocno boleć. Poratował mnie brygadzysta, pożyczając własne okulary. Wieczorem szczęście mi dopisało, bo przysłano do kantoru kilkanaście par, więc miałem już swoje własne. Podobno zdarzały się przypadki

utrąty wzroku w tym niebezpiecznym okresie, kiedy słońce zaczyna mocniej operować na bezkresnej bieli śniegów arktyki.

W nocy rozszalała się purga (burza śnieżna) i wszystko zasypała. Zabraliśmy się więc od nowa do oczyszczania torów.

Po dwóch tygodniach posłano nas znowu na etap. W grupie 20 ludzi byli sami Rosjanie, tylko ja i Jurek – Polacy, jak dwa rodzynki w cieście. Do Abiezu dojechaliśmy pociągiem, dalej szliśmy pieszo wzdłuż prawego brzegu Usy. Po kilkunastu kilometrach weszliśmy na teren sielchozu (sielskoje choziajstwo). Było to rolne gospodarstwo GUŁagu. Przy krótkim okresie wegetacji udaje się tu podobno rzepa i niektóre jarzyny. Hodowano tu konie, krowy i świny. W sielchozie byli mężczyźni i kobiety. Kobiety nas nakarmiły i wskazały barak, w którym mieliśmy mieszkać. Poczulo się domową atmosferę. Mieszkańcy tego sielchozu siedzieli tam od lat i żyli jak w jednej rodzinie. W moim baraku do leżącego zeka przychodziła często kobieta i widać było, że się o niego troszczy – myła go i karmiła. Sąsiad powiedział mi, że to jest jego łagiernaja žena. A więc i takie związki zdarzały się w łagrach.

Baraki, w których mieszkaliśmy były zadbane, wewnątrz otynkowane i pobielone wapnem. Jedzenie się poprawiło. Często dostawaliśmy na obiad dorsze, były tylko zbyt słone. Chodziliśmy do lasu ścinać drzewo na opał i na budulec. Zrywaliśmy brzożowe wietki (młode gałązki), którymi na wiosnę, gdy brakowało siana, skarmiano bydło. Nie wiem tylko w jakiej postaci; czy krajano je na sieczkę, czy rozcierano na miazgę. Jako syna rolnika bardzo mnie to dziwiło.

Po kilkunastu dniach zostaliśmy z Jurkiem wozakami. Zwoziliśmy drzewo z lasu i siano ze stogów na łące. Mieliśmy początkowo kłopot z zaprzęgiem, czyli z duga, hołoblami i chomaćm. Kiedy pierwszy raz zaprzęgałem konia do sań, wydawało się wszystko w porządku, lecz kiedy zaciałem konia batem, ten ruszył truchtem, a sanie zostały. U nas w domu były w gospodarstwie inne zaprzęgi – szory i półszorki. Szybko jednak nauczyliśmy się poprawnie zakładać uprzęż i poganiać konia, nie gorzej od starych furmanów.

Poruszaliśmy się w terenie bez strażnika, co poprawiło nam samopoczucie. Przebywaliśmy tam miesiąc, potem mnie i Jurka przeniesiono do drugiego sielchozu koło Abiezu, na przeciwnym brzegu rzeki. Była tam baza transportu, składająca się z kilku samochodów ciężarowych i 50 koni mieszczących się w dwóch stajniach. Opiekę sanitarną nad zwierzętami pełnił Polak – lekarz weterynarii. Ja z Jurkiem i jeszcze kilkoma wozakami przewoziliśmy

siano w tiukach i owies w workach po lodzie przez zamrożoną rzekę. Byliśmy tam do końca maja i czas ten mile wspominamy.

Naczelnik transportu był także więźniem. Na wolności musiał być szcya, skoro powierzyli mu tak odpowiedzialną funkcję w łagrze. Miał on na końcu baraku, za przepierzeniem, pomieszczenie dla siebie. Usługiwał mu dniewalnyj. Pewnego dnia naczelnik odesłał dniewalnego do pracy w stajni, a na jego miejsce sprowadził sobie młodą, przystojną więźniarkę. Kiedy rano po pobudce szykowaliśmy się do pracy, nowa dniewalnaja przyszła usługiwać naczelnikowi. Po chwili usłyszeliśmy krzyk i przekleństwa. Otworzyły się drzwi baraku naczelnika i wybiegła z nich rozwścieczona dniewalnaja.

Pytamy, co się stało? – Wyobraźcie sobie, ten stary cap dobierał się do mnie. Jestem porządną dziewczyną i wolę dać prostemu robotnikowi, aniżeli temu przydurkowi, temu... i posłała pod jego adresem masę epitetów, jeden soczystszy od drugiego.

cdn.

Tonka Pickholz Rajz

Jak ocalałam¹

Cz. I

Skałat, lipiec 1941 r.

Rosjanie opuszczają w pośpiechu miasto. Wszyscy z troską oczekują na to co przyniesie jutro. Trwoga nie do opisanego. Groźba nowej okupacji wisi w powietrzu. Niemcy nadchodzą.

Wiedzieliśmy, że czekają nas ciężkie czasy, a z nimi różne szykany, prześladowania i dyskryminacja na każdym kroku. Ale rzeczywistość prześcignęła wszystkie wyobrażenia. Żaden kat, w jego najbardziej wypaczonej, chorobliwej wyobraźni nie mógł wymyślić tak przerażających, tak wstrząsających okrucieństw.

¹ Wspomnienia te przetłumaczył Michał Górski z hebrajskiego zbioru opowiadań "Skałat", wydanego w Izraelu w 1971 r. przez szkołę im. Ja'akowa Krola w Petah Tikwie oraz Związek Skałackich Żydów w Izraelu pod redakcją Chaima Braunsteina.

Mieszkaliśmy przy ul. 3 Maja, głównej ulicy, którą suną przednie strażę SS-owskiej dywizji. Pewni siebie, w eleganckich mundurach, przejeżdżają przez miasto.

Są pierwsze ofiary – rodzina Szechterów. Niemcy prowadzą grupę Żydów nad rzekę i znęcając się nad nimi, bijąc nieszczęsne ofiary niemiłosiernie po głowach i ciele gumowymi pałkami, pędzą je do wody. Część z nich utonęła, reszta ratowała się ucieczką pod gradem pałek, obelg i szyderstw.

Minęła sobota. Na ulicach leżą zwłoki ofiar. Nastął nowy dzień – niedziela. Grobowa cisza. Nagle dają się słyszeć przeraźliwe krzyki. Padają pierwsze strzały. Ojciec szybko chroni się na strychu; wiadomo bowiem, że mężczyźni pierwsi padają ofiarą. Przez szczelinę w dachu obserwuje co się dzieje na pobliskim rynku: Niemcy z Ukraińcami, swoimi sprzymierzeńcami wyciągają Żydów przemocą z domów. Każdy opór jest okrutnie tłumiony. Znęcają się nad starcami i dziećmi. Mężczyzn zmuszają do szybkiego i dokładnego mycia wojskowych samochodów, a sami śmiejąc się, przyglądają się swoim ofiarom, które po zakończonej pracy pędzą do baszty zamkowej i tam zabijają. Nazajutrz zwłoki pomordowanych pochowano we wspólnej mogile na żydowskim cmentarzu. Los pomordowanych podzielił również nasz kuzyn dwunastoletni Zalman Messing.

Do naszego mieszkania wtargnęło z wrzaskiem kilku Niemców. Ja uciekłam do naszego sąsiada, mama do domu Maryni, naszej byłej pomocnicy, a siostry znalazły schronienie w różnych miejscach. Mieszkanie zostało puste, ale nie na długo, gdyż chłopcy, którzy wyszli z nabożeństwa w pobliskiej cerkwi, wdarli się do środka i zgarniali co wpadło im pod rękę. Zabrali nawet obrazy ze ścian. Cały dzień ukrywałam się w krzakach róż, które dla Maryni były dodatkowym źródłem utrzymania.

Przez kilka dni nie wracałam do domu i razem z siostrą Reginą ukrywałam się w stodole Maryni. Bałyśmy się niemieckich żołnierzy, atakujących po nocach żydowskie kobiety. Co prawda hańbienie "czystej rasy" było poważnym, przewinieniem w nazistowskich Niemczech, ale mimo to wiele żydowskich kobiet zostało zgwałconych, a potem zastrzelonych dla zatarcia śladów.

Po dwóch tygodniach nieładu władze miejskie zaczęły zaprowadzać swoje porządki. Co ładniejsze żydowskie mieszkania zostały zarekwirowane na mieszkania i biura dla administracji niemieckiej.

Na polecenie władz powołany został Judenrat², którego zadaniem było utrzymywanie więzi między ludnością żydowską a władzami niemieckimi, a w szczególności wykonywanie ich rozkazów szybko i sprawnie. Pierwszym ważnym zadaniem, nałożonym na Judenrat była kontrybucja w gotówce, biżuterii i innych wartościowych rzeczach jak np. futra. Judenrat zorganizował dostawę chleba (100 gramów dziennie na osobę) dla ludności żydowskiej. Otworzył też kuchnię publiczną, która wydawała zupę dla biednych, których z czasem było coraz więcej. Judenrat zajął się też organizacją służby zdrowia dla społeczności żydowskiej, a dla najbardziej potrzebujących także opieki socjalnej.

W tym czasie pracowałam w Wydziale Opieki Społecznej razem ze znaną w Skałacie nauczycielką Rózią Pickholz i profesorem Francozem. Staraliśmy się, jak tylko można było, pomóc młodym robotnikom wysyłanym do obozu w Kamionkach, gdzie pracowali w bardzo ciężkich warunkach, głodni, obdarci i zawszeni. Dwa razy w tygodniu wysyłaliśmy ładunki chleba, tłuszczu i czystej bielizny. Tam w Kamionkach padł drugi członek naszej rodziny, Szlomo Perl.

Ludzie pozbawieni umiejętności radzenia sobie w strasznej rzeczywistości oraz biedni, bez jakichkolwiek zasobów po prostu przymierali z głodu, żywiąc się z konieczności czym popadło: obierkami z kartofli i podobnymi odpadkami. Wielu z nich godność osobista nie pozwalała nie tylko prosić o pomoc, ale nawet ujawniać swego beznadziejnego stanu.

Nastała wiosna 1942 r. Rozeszły się słuchy o zbliżającej się "akcji". Do tej pory nie miałam pojęcia co słowo "akcja" oznacza. Zdarzyło się najstraszniejsze. Judenrat dostał polecenie dostarczenia Niemcom "kwoty" (kontyngentu) i sporządził listę najbiedniejszych wdów, sierot i bezdomnych, znajdujących się w ewidencji Opieki Społecznej. Początkowo mówiono, że ludzie ci zostaną wysłani do specjalnych obozów. Nie chciało się wierzyć, że Judenrat sporządził listę pierwszych ofiar. Fakt ten napełnił mnie uczuciem pogardy dla sprawców i więcej nie chciałam brać udziału w czynnościach Wydziału Opieki Społecznej.

W tym czasie Niemcy zaczęli organizować zbieranie starych rzeczy i stworzono jednostkę pod nazwą "Altstofferfrischung". W domu, należącym do rodziny Ungerów urządzono warsztat i otwarto biuro. Myto tutaj i czyszczono zebrane flaszki oraz sortowano innego rodzaju przedmioty codziennego użytku. Kierowni-

² Rada Żydów.

kiem był Polak niemieckiego pochodzenia niejaki Malicki (Małecki). Dostałam u niego pracę jako księgową, a to było gwarancją, że nie zostanę wysłana do obozu pracy. A tymczasem słuchy o zbliżającej się akcji przybierały na sile. Niemcy zażądali od Judenratu czterystu dusz. Żydzi szukali więc dróg ocalenia. Budowali schrony i różne schowki we własnych mieszkaniach i z wiarą w przetrwanie śledzili przebieg walk na wschodnim froncie. Może zdarzy się cud i Czerwona Armia potężnym uderzeniem zada klęskę niemieckim wojskom. Ojcu udało się zbudować w piwnicy schron, ale podskórna woda zalewała ją powyżej otworów wentylacyjnych.

I zdarzyło się to, czego obawialiśmy się. Zjawili się Niemcy i towarzyszący im policjant żydowski z listą osób, które nakazano mu odprowadzić do punktu zbornego w synagodze. Nasza rodzina ukryła się na strychu, wujkowie i ciocie z dziećmi w piwnicy, a ja z siostrą Reginą w rowach przeciwnolotnych w pobliżu cerkwi. Ponieważ w pobliżu nie było publicznego szaletu i wychodzący z cerkwi załatwiali tam swoje potrzeby fizjologiczne można sobie wyobrazić jak spędziłyśmy tam całą noc. Łącznikiem z otaczającym nas światem był sąsiadujący z nami Polak, który co pewien czas donosił nam szeptem co się dzieje na ulicach. "Akcja" trwała całą noc, a podpici policjanci wywalali siłą drzwi, szukali po strychach i piwnicach, wywelekali siłą przestraszonych starców i staruszki. Nierzadko łapali młodych, a wszystkich prowadzili do wielkiej synagogi. Zewsząd dochodziły zawożenia i lamenty ofiar, które nie mogły pojąć dlaczego kat wybrał właśnie ich. Żydowski policjanci dwukrotnie wchodzili do naszego domu i piwnicy, ale bunkra nie odkryli. Rano dowiedziałam się, że zabrali też moją teściową. Pobiełam do Judenratu aby ją ratować. Dotarłam do adwokata Munia Lemperta, członka Judenratu i błagałam o litość. Ten zażądał dziesięciu tysięcy złotych i dwustu gramów złota. Tak olbrzymiej sumy pieniędzy nie mieliśmy, a złoto ukrył mój teść, ale nie pamiętał gdzie. Przekazałyśmy więc ze szwagierką to co mogłyśmy znaleźć wartościowego w domu: kupony materiałów na ubrania, płaszcze i inne wartościowe przedmioty i czekałyśmy na powrót mamy z synagogi. Daremnie.

Do liczby wyznaczonej "kontyngentem" brakowało jeszcze kilku osób. Kiedy o czwartej po południu wracałam do Judenratu do domu, ostrzegli mnie ludzie i radzili uciekać czym prędzej bo łapią każdego, tak jak moją szwagierkę czekającą koło synagogi na swoją mamę. W jednej chwili zdarłam z ramienia "znak hańby" – gwiazdę Dawida i zdesperowana poszłam w kierunku cerkwi, pewna, że nikt mnie nie zatrzyma. A trzeba pamiętać, że chodzenie bez opa-

ski z gwiazdą Dawida było karane śmiercią. Wszystkich złapanych w tej akcji Żydów załadowano na ciężarówki i powieziono w nieznanym kierunku. Wszelki ślad po nich zaginął.

W jesienną noc obudziło nas dobijanie się do drzwi. Stał w nich ukraiński chłop i natarczywie domagał się aby wyprowadzić mu Siufkę, naszą piętnastoletnią siostrę, bo zebrało mu się na „miłość”. Ojciec zmagął się z nim, jak z dzikim zwierzęciem, do samego rana. Gdy pijany uprzednio chłop wytrzeźwiał, przeprosił i nawet przysłał nam bochenek chleba na znak skruchy.

Jednej nocy do naszego mieszkania wtargnęli Niemcy. Obudziły nas ich straszliwe wrzaski. Przyglądali się mnie i moim siostram, Siufce i Reginie i wycofali się, przepraszając, gdyż wydawało im się, że mieszkają tu Żydzi. Tej nocy postanowiłyśmy, że należy pomyśleć o nowej tożsamości. Zdarzyło się, że do firmy „Altstoff-fassung”, zatrudniającej Żydów przy zbiorce złomu i odpadków, przyjechał inspektor pan Nowicki – Żyd, który zaopatrzony w aryjskie papiery, udawał chrześcijanina. Nowicki był bogaczem, miał wpływy w różnych sferach i niezwykle plan ocalenia życia. W jego działaniach przeszkadzał mu jednak wybitnie semicki wygląd i dlatego otaczał się ludźmi o wyglądzie aryjskim. Kiedy się z nim zaprzyjaźniliśmy, zaproponował nam wspólną ucieczkę przez granicę rumuńską, do której, według jego planu, należało zbliżyć się stopniowo. Przede wszystkim należało uzyskać pracę w innych miastach, a na początek w Czortkowie. Nowicki, w ramach swoich uprawnień jako inspektor, udał się jako pierwszy do Czortkowa, a my zaczęłyśmy starania o dokumenty świadczące, że jesteśmy chrześcijankami. A w roku 1942 nie było to w Skałacie rzeczą łatwą, ale w końcu udało nam się. Pomógł nam w tym Ukrainiec, którego poznałam w czasie wspólnej pracy przed wojną. W miejscowym archiwum znalazł odpowiednie druki, które wypełnił. Postarał się też dla nas o modlitewnik, a nawet o medaliki. Moje dokumenty świadczyły teraz, że jestem Ukrainką i nazywam się Katarzyna Łobzowska. Trudno mi było zapamiętać moje nowe nazwisko, mimo, iż powtarzałam je sobie po nocach. Strach paraliżował po prostu moja pamięć.

Ponieważ praca w księgowości niemieckiej instytucji dawała mi dostęp do druków i pieczętek urzędowych, wystawiłam sobie dokument na nazwisko Katarzyna Łobzowska. W oczekiwaniu na wieści z Czortkowa sprzedałam naszą maszynę do szycia i kilka innych wartościowych przedmiotów, aby zaopatrzyć się w gotówkę na drogę. Siufka, moja młodsza siostra też robiła starania o „papiery” i tylko Regina wahała się wciąż z podjęciem decyzji.

Do Czortkowa wyjechałam w dniu utworzenia w Skałacie getta. Pożegnałam się z rodzicami, noc przespałam u Maryni, a o świcie syn jej zawiózł mnie na stację w Chorostkowie. Szłam w nieznane, zmierzałam ku nowemu życiu. Byłam młoda, czułam ulgę i pewność siebie. W pociągu Polacy i Ukraińcy młodzi i starzy. Z radością patrzyłam na ich twarze i rozmyślałam o swojej nie-szczęśliwej rodzinie, którą pozostawiłam. Udając pobożną sięgnęłam po modlitewnik i mimo strachu powtarzałam modlitwy. Stopniowo ogarniało mnie wspaniałe uczucie, że nikt za mną nie goni, że jestem wolną istotą.

Zbliżaliśmy się do Czortkowa. Jeszcze podczas jazdy zapytałam swoim wspaniałym ukraińskim jedną z podróżnych czy zna miejsce gdzie można przenocować. Podała mi adres niedaleko stacji kolejowej. Gospodyni, Ukrainka w podeszłym wieku przyjęła mnie życzliwie, ale nie miała wolnego łóżka więc zgodziłam się spać w jednym łóżku z jej młodą córką. Na wytłumaczenie mojego tutaj pobytu miałam gotową odpowiedź: bałam się, że złapią mnie Niemcy i wyślą na przymusowe roboty do Niemiec i dlatego uciekłam z mego miasta. Brzmiało to wiarygodnie i przekonująco. W mieście poruszałam się z uczuciem wolnej istoty i będąc świadomą swego celu, przestała się bać. *Wiem, że będziesz żyła* – powiedziała mi moja siostra Matylda kiedy wyruszałam w drogę. Dnie mijały na szukaniu pracy, niestety bez powodzenia. Był październik 1942 r. Doszły mnie słuchy o „akcji” w Skałacie, podczas której ponad trzy tysiące ludzi zostało złapanych i wywiezionych do obozu śmierci. W tej liczbie znalazł się mój ojciec Tuwia Pickholz, szwagier Szlomo Bomze i teść Hersz Walach.

Nazajutrz po „akcji” siostra moja Siufka, znając mój adres przyjechała do Czortkowa, ale już mnie nie zastała, gdyż w tym dniu wyjechałam do Lwowa zgodnie z planem pana Nowickiego. A wyjazd ten poprzedziły moje próby dostania się podczas łapanek na ulicach do grupy przeznaczony na wyjazd do Niemiec. Niemcy łapali wtedy młodych ludzi do pracy w niemieckich fabrykach, ale jak na złość mnie nie złapali. Zgłosiłam się więc ochotniczo i poprosiłam o skierowanie mnie do pracy w Niemczech. Zdecydowałam się na to ryzyko w przekonaniu, że moje dokumenty, moja postawa, mój wygląd dowodzą niezbicie, że jestem ukraińską patriotką. A ponadto powoływałam się na pokrewieństwo z rodziną, która dała mi schronienie.

Zostałam więc wysłana do Lwowa, do punktu zbornego, z którego wysyłano co miesiąc około dziesięciu tysięcy ludzi do prac w Niemczech. W baraku, do którego zostałam przydzielona

gnieździło się czterysta kobiet. Bród był nie do opisania, wszystko niesamowicie zawzione, a toalety i prysznice obsługiwane przez mężczyzn, którzy traktowali nas jak bydło robocze.

W obozie tym byłam o krok od śmierci. Ktoś poznał mnie i doniósł władzom obozowym, że zna mnie jeszcze z lat nauki w gimnazjum w Tarnopolu i że jestem Żydówką. Komendant obozu i jego pomocnik weszli do naszego baraku i zażądali aby każda obecna w nim Żydówka zgłosiła się. Skamieniałam gdy doszli do mnie a komendant polecił mi zabrać swoje rzeczy i iść za nim. Wiedziałam co mnie czeka. Dwa dni temu zastrzelili żydowskiego chłopca, a wyrok został wykonany na oczach całego obozu. Do biura weszłam ze swoją walizką. Komendant po dokładnym obejrzeniu dowodu tożsamości zażądał odmówienia modlitwy po ukraińsku, ale pamięć odmówiła mi posłuszeństwa. Nie mogłam sobie przypomnieć ani jednego słowa z modlitw, które tyle razy powtarzałam. Teraz już wiedział kim jestem naprawdę. Zauważyłam pożądlivy wzrok z jakim szperał w mojej walizce i odkryłam jego sła-
bość. Zaproponowałam mu aby wziął dla swojej narzeczonej, jeśli ją ma, kilka par bielizny i sweter. A kiedy to zrobił nabrałam odwagi i zaproponowałam mu też pieniądze, które miałam ze sobą. Hojność moja pomogła. Przekonał się, że jestem jednak Ukrainką i pozwolił mi wrócić do baraku. Komendant dał mi do wyboru: pozostanie w obozie i czekanie na wyjazd do Niemiec lub opuszczenie obozu.

cdn.

Hipolit Chojecki

Kwiaty na pożegnanie

Pamięci naszych Wychowawców z gimnazjum
w Czortkowie na Podolu
(Wspomnienia z lat 1929-1936)

Cz. I

Skąd wszyscy wyszliśmy. Kresy

To słowo ma w sobie coś z zaklęcia i modlitwy. O Kresach z rozrzewnieniem mówią Polacy ze Wschodu, opowiadając o dawnych czasach. Czasach ich młodości.

Tyle pokoleń tam żyło, wrosło w tę ziemię, ukształtowało ją. Tyle trudu, lez i znoju, ale też tyle szczęścia i miłości. I tyle historii naszej. Dla ich dzieci to bajkowa kraina, kraj mlekiem i miodem płynący. Jest w tych wspomnieniach żal – i niechęć do pogodzenia się ze stanem obecnym.

Kto by myślał, kto by się spodziewał,
że gdzieś za światem w bodziakach czehryńskich,
że gdzieś na kresach niegdyś ukraińskich
taki świat dzielny i uroczy bywał?

Wincenty Pol

Kresy według encyklopedii, to część kraju leżąca blisko granicy, zwłaszcza dawne pogranicze wschodnie. Początkowo były to stanowiska wojskowe na pograniczu Podola i Ukrainy, strzegące Rzeczypospolitej przed najazdami tatarskimi, mołdawskimi i kozackimi. Z czasem Kresy zaczęły oznaczać pograniczne ziemie południowo-wschodnie. Od czasów rozbiorów Polski nazwę Kresy nadawano wszystkim prowincjom wschodnim dawnego państwa.

Na tych terenach, niedaleko Lwowa, w rejonie tarnopolskim, nad Seretem (dopływem Dniestru), leży malowniczo położone miasto Czortków. Przeżyłem tam moje młodzieńcze lata "durne i chmurne". Gdy patrzę wstecz, był to ów fundament, na którym miałem budować przyszłość. Ówczesne problemy z biegiem lat stały się miłymi anegdotami, chętnie opowydanymi w rodzinnym gronie, oddając klimat i nastrój tamtych czasów.

Jest jeszcze coś, co uświadomiłem sobie z upływem lat, a co jest ściśle związane z miejscem mego urodzenia³. To duma z bycia Polakiem. Tam, gdzie ścierały się różne narodowości, kultury i obyczaje, polskość nie była dana raz na zawsze. Trzeba było o nią ustawicznie walczyć. Może dlatego z tamtych stron, z Kresów Wschodnich, wywodzi się tyłu wspaniałych Polaków! Bo tam nie było czasu na przeciętność. Nawet klimat był zdecydowany, jak ludzie.

Na takiej ziemi urodziłem się i wychowałem. O fascynacji ludźmi, z którymi los mnie zetknął i wspomnieniach o nich, może trochę nieostrzych, będą te opowieści...

³ Autor urodził się w miejscowości Hubin - Rosja (przyp. red.).

Prolog

Od pierwszych lat szkolnych wolałem przedmioty opisowe od praktycznych, humanistyczne od technicznych. Stąd naukę języka polskiego, geografii, przyrody zawsze przedkładałem nad matematykę i fizykę. Przedmioty ścisłe, według naszych ówczesnych przekonań, zawężyły swobodę myślenia. Stwarzały bowiem ramy, w których wolno nam było poruszać się.

Owych preferencji czy też skłonności do humanistyki doszukiwałem się we wpływie warunków geograficznych, w których przyszedłem na świat, a później przyszło mi żyć. Szerokie przestrzenie, dalekie widnokreśli, nieograniczone możliwości poruszania się odpowiadały mi bardziej, niż ograniczone tereny miast z ich ciasnymi ulicami, chociaż z uroczymi nieraz zaułkami.

Największy chyba wpływ na ukierunkowanie moich zainteresowań wywarła czysta abstrakcja, jaką było poznanie poglądów greckich filozofów i zafascynowanie płynącą stąd nauką.

Rozwój filozofii greckiej V – III wieku p.n.e. był nieustannym źródłem mego podziwu i uznania. Bez bazy badawczej, bez zaplecza naukowego, ci starożytni mędracy dochodzili do wniosków, na które współczesna nauka musiała czekać długie wieki. Skąd Demokryt z Abdery, prekursor atomistyki, doszedł do pojęcia o jednolitości budowy świata, wysuwając hasło “fohat” jako praźródła wszystkiego co nas otacza? Jakimi drogami szło rozumowanie Talesa z Miletu o wodzie, jako pramaterii wszelkiego dalszego bytu? Czy Heraklita z Efezu, który w ogniu dopatrywał się przyczyny dalszych przemian świata, a w jego stałym ruchu – gwarancji trwałości? (Słynne “panta rhei”).

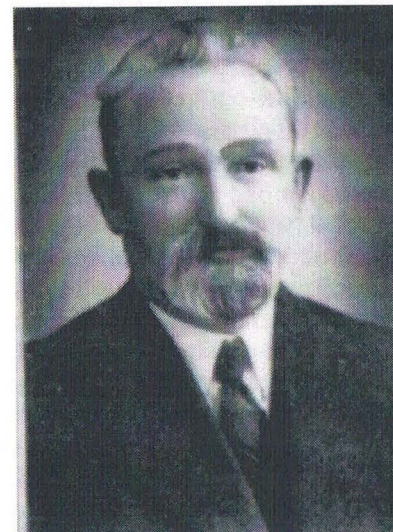
Jak nieograniczone wydawały mi się wówczas granice poznania ludzkiego rozumu. Wprawdzie onieśmiał mnie Pitagoras ze swoją szkołą, który potrafił zakreślić granice otaczającego nas świata, mierzyć odległości łądów i planet, nie umniejszało to jednak w moich oczach przyznania prymatu teoretykom nad praktykami, do których zaliczam przedstawicieli nauk ścisłych.

Dlatego w swych wspomnieniach poświęcam tyle miejsca wyznawcom “czucia i wiary” nad mędracami ze “szkiełkiem i okiem”.

Nie oznacza to, że w latach naszej nauki w szkole średniej nie mieliśmy uznania dla wykładowców dyscyplin wiedzy ścisłej. Odbyliśmy ich jednak bardziej rozumem niż sercem.

Lekcje matematyki i fizyki

Reguły matematyki przekazywał nam prof. Dawid SOMMERSTEIN⁴ - mężczyzna o charakterystycznym wyglądzie. Niski, z siwą brodą, w okularach, łatwiej nadawał się do rysunkowej karykatury niż podziwu. Przez kolejne roczniki naszych kolegów nazywany był “Dudiem” (od swego imienia Dawid).



Dawid Sommerstein
prof. gimnazjum w Czortkowie

Jego częste połażanki były bardziej przykrywką sympatii do nas, niż chęcią wywołania strachu. Podpatrzyliśmy, jak czasami podczas lekcji – gdy stawał przed trudnym do rozwiązania zadaniem – wymykał się do sąsiedniej klasy, w której zajęcia prowadził prof. Rattner. Tam po skonsultowaniu problemu, wracał do nas i pewnym już głosem kontynuował lekcję.

Tacy jak ja, którzy mieli większą zdolność przyswajania materiału drogą pamięciową niż dzięki logicznemu wywodowi, poznawaliśmy matematykę poprzez “wkuwanie” na pamięć gotowych reguł postępowania czy wzorów matematycznych. Metoda ta często okazywała się dla nas pożyteczna. Z podręcznikiem Kranza było inaczej. Był to bowiem zestaw zadań z całego programu nauczania w szkole średniej; ich ilość – ponad 300 zadań – bardziej opisowych niż w formie liczbowej, wymagała nie tylko znajomości metody postępowania, ale też formy jej zastosowania. Zdania te należało rozwiązać, a wynik skonfrontować z odpowiedzią umieszczoną na końcu podręcznika. (Stąd kuplet: *Pan profesor z siwą brodą, męczy nas Kranza metodą*).

Ten, kto opanował cały zestaw pytań i odpowiedzi, mógł liczyć na pozytywny wynik klasówki, a nawet matury. Kogo jednak było stać na taki sprawdzian wiadomości? Były tam bowiem zada-

⁴ W przedwojennych gimnazjach był zwyczaj tytułowania wykładowców profesorami (przyj. red.).

nia i z arytmetyki, i z geometrii, i z trygonometrii z zastosowaniem logarytmów, wzorów matematycznych i definicji.

Dzięki zadawaniu kolejnych zestawów zadań, mógł "Dudio" śledzić postępy każdego z nas. Jak się później okazało, dzięki rejestracji naszych odpowiedzi, miał doskonałą znajomość stanu naszej wiedzy i naszego przygotowania do dalszych etapów nauki.

Mogłem to sprawdzić na własnym przykładzie. Moje zainteresowanie matematyką było – mówiąc ogólnie – na poziomie mierzalnym. Zdałem maturę i zapisałem się do Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego. Gdy przypadkowo spotkałem na ulicy prof. Sommersteina, pierwszym jego pytaniem było, co zamierzam dalej ze sobą począć? Jakież było jego zdziwienie, że wybrałem handel zagraniczny. *Przecież tam niezbędna jest znajomość matematyki. Nie dasz sobie rady – powiedział.*

Niedługo musiałem czekać na trafność ocen profesora. Wybór kierunku studiów był bardziej na miarę moich marzeń, niż możliwości. Przekonałem się o tym boleśnie już na pierwszym roku studiów. Wierząc jednak słowom wieszczki *mierz siły na zamiary*, patrzyłem z wiarą w przyszłość. Ta dewiza towarzyszyła mi przez wiele lat życia i zawsze dawała pozytywne wyniki.

Profesor Callel Rattner był pod wieloma względami odmienny od "Dudia". Uczył nas fizyki. Był wysokim, poważnym mężczyzną i już samą swoją postacią narzucał szacunek dla swojej osoby. Nie przyszło nam nawet do głowy obdarzyć go kupilem czy przezwiskiem.

Każdy nowy rozdział w swych zajęciach poprzedzał dłuższym wprowadzeniem, obrazującym okoliczności powstania zjawiska czy problemu, względnie jego zastosowanie. Tak było z opisem przewodnictwa prądu elektrycznego, od latawca połączony konopnym sznurkiem z metalowym kluczem w ręku, gdy podczas burzy przewodził prąd elektryczny. Podobnie było z termometrem Galileusza lub przy prezentacji prawa Archimedesesa o wyporności przedmiotów w płynie.

Fizyka w wydaniu prof. Rattnera była nauką operującą faktami, a nie



Callel Rattner
prof. gimnazjum
w Czortkowie

rozumowymi spekulacjami. Pamiętam, jak w warunkach laboratoryjnych pragnął przedstawić nam zjawisko obrotu ziemi wokół swej osi. Zawieszony u sufitu sznurek z ciężarkiem puszczał w ruch wahadłowy, każąc nam zmierzyć na podłodze odchylenia jego ruchu. Nie byliśmy jednak zbyt przekonani o związkach pomiędzy wahadłem a ruchem ziemi.

Gdy zwiedzałem po latach w Leningradzie Sobór Uspieński, nasi gospodarze zademonstrowali nam ruch wielkiego wahadła zawieszonego u kopuły najwyższej wieży cerkwi. Zgromadzeni u podnóża, już po kilkunastu minutach mogliśmy zmierzyć różnicę śladu wahadła, a tym samym drogę, jaką w tym czasie odbył nasz glob. Powróciłem wówczas pamięcią do Czortkowa i eksperymentu prof. Rattnera.

Koleżeńskie stosunki obu tych naszych nauczycieli przetrwały próbę czasu. Nie dzieliły ich różnice usposobienia, ani formy zachowania. W takiej symbiozie dotrwali do ostatnich, strasznych dni okupacji hitlerowskiej. Obaj zostali aresztowani i poddani torturom. Mieszkający w owym czasie w Czortkowie nasi koledzy gimnazjalni widzieli ich wieszonych w ostatnią podróż. Pobitych, zmaltretowanych fizycznie, pozbawionych godności ludzkiej, prof. Rattnera z wybitym, zwisającym luźno z oczodołu okiem, a prof. Sommersteina z połamanymi kończynami⁵.

W mojej pamięci pozostają takimi, jakimi znałem z czasów ich aktywności zawodowej, gdy przygotowywali nas do dojrzałego życia.

Najpiękniejsze róże na ich symboliczny grób.

Lekcje języka polskiego

Zajęcia z tego przedmiotu prowadził z nami najpierw prof. Stefan OGONOWSKI. Był niskiego wzrostu, ułomny, z wyraźnie zaznaczoną deformacją kręgosłupa. Z uwagi na tę dolegliwość, od lat przyłgnał do niego przydomek "Gzysm", który bardziej oddawał nasz strach przed wymaganiami profesora, niż był złośliwością korespondującą z jego wyglądem.

Uspokojenie miał profesor łagodny, ale w stosunku do nas był bardzo wymagający. Może dzięki temu przekazany nam zasób

⁵ 20.8.1942 r. wywieziono z getta prof. D. Sommersteina do obozu pracy w Bełżcu, gdzie zginął, a 15.9.1942 r. aresztowano w grupie 100 osób inteligencji żydowskiej także prof. C. Rattnera. W następnym dniu wszyscy zostali rozstrzelani (przyp. red.).

wiadomości był niemały. To jemu zawdzięczamy zapamiętanie po dzień dzisiejszy nazw kolejnych ksiąg "Pana Tadeusza".

- GOZAUM (Gospodarstwo, Zamek, Umizgi),
- DYKŁOZAS (Dyplomacja, Kłótnia, Zaścianek),
- RAZABIT (Rada, Zajazd, Bitwa),
- EJROKOCH (Emigracja-Jacek, Rok 1812, Kochajmy się) -

utworzonych z pierwszych zgłosek kolejnych ksiąg poematu.

W podobny sposób nauczył nas profesor pamiętania nazw wszystkich muz Apollina. PUTKAMERERK – to pierwsze litery imion tych opiekunek sztuki: Polihymnia, Urania, Talia, Kaliope, Melpomene, Erato, Euterpe i Klio.

Profesor był bibliofilem, zbierał osobliwości polskiej literatury. Posiadał egzemplarz pierwszego wydania "Pana Tadeusza" z 1812 r. Czczył go jako rzecz niezwyklej wartości. Były to luźne, pomięte kartki zadrukowanego papieru. Pamiętam, z jakim pietyzmem je odnawiał: czyścił, suszył, a następnie prasował. Zorganizował nawet w szkole wystawę dla zaprezentowania owego rarytasu, dla nas – uczniów i dla zainteresowanych mieszkańców miasta.

Lektura tego poematu narodowego zajęła nam cały rok nauczania w V klasie⁶ gimnazjum. Jego metodą było przyswajanie przez nas i uczenie się na pamięć całych rozdziałów niektórych ksiąg poematu. Poza ogólnie znaną "Inwokacją", szacunku do wieku starszego i zasady hierarchii pokoleń uczył nas "Zamek": *Właśnie wracało z lasu towarzystwo całe [...]*, zawierający opis kolejności zajmowania miejsca w szeregu powracających gości i dobrych obyczajów w sposobie odżywiania się w towarzystwie starszych.

Piękno przyrody i umiłowanie ziemi ojczyznej przedstawiały opisy:

- Matecznika,
- Muzyki dwu stawów,
- Dyskusji między Hrabia, Podczaszym i Tadeuszem o niezwyklej fantastyce nieba litewskiego.

To, co nam w profesorze szczególnie imponowało, to poczucie jego wielkiego patriotyzmu i szacunku dla tradycji narodowych. Utkwiła mi w pamięci reakcja profesora na zauważony brak orzełka na czapce mego kolegi. Po raz pierwszy widziałem wówczas jego

⁶ Było to 8-mio klasowe gimnazjum przed reformą, po której szkołę średnią stanowiło: 4 klasy gimnazjum i 2 klasy liceum. Po ukończeniu gimnazjum obowiązywała tzw. mała matura – uprawniająca do nauki w liceum (przyp. red.).

wzburzenie. *Nie masz znaczka orła polskiego na czapce?7 Czy zdajesz sobie sprawę ile czasu nasi ojcowie musieli czekać, aby mieć prawo noszenia go?!*

Po jakimś czasie gruchnęła w mieście wiadomość, że prof. Ogonowski żeni się. Przy jego deformacji fizycznej, starszym już wieku, za partnerkę życia wybrał młodą osobę, pracownicę sklepu branży muzycznej w centrum miasta. Nie minęło kilka miesięcy, gdy usłyszeliśmy kolejną wiadomość. Profesor zmarł.

Nam pozostał żal za zmarłym i pamięć o tym, co nam przekazał. Nauki profesora nie poszły w las, przekazaliśmy je naszym własnym dzieciom. Były to dykteryjki i różne takie "putkamerki", które rzeczy trudne czyniły mniej skomplikowanymi.

Np. często spotykany błąd językowy "wziąć" nie miał racji bytu w moim własnym domu od czasu, gdy opowiedziałem dzieciom jak prof. Ogonowski rozstrzygał tę kwestię. Miał zwyczaj mawiać: *Za wziąć to można siąść* i raczył delikwenta dwóją. Był to bardzo plastyczny sposób uczenia poprawnego języka, skoro o tym powiedzonku – czytając rękopis moich wspomnień – przypomniały mi moje dzieci, same już po czterdziestce.

Ciekawe, co w pamięci potomnych pozostaje po człowieku?

Z chwilą odejścia osoby nietuzinkowej, która wywierała wpływ na swoje środowisko, ludzie pozostający w kręgu tego oddziaływania starają się zazwyczaj podsumować dorobek jej życia. Było też tak w przypadku prof. Ogonowskiego.

Czy to z uwagi na obcowanie z wielką literaturą, czy wręcz zafascynowanie nią, profesor zapragnął być także twórcą. Znany mi jest tylko jeden przykład tej jego działalności, którą chciałbym uchronić od zapomnienia. Mam na myśli satyryczny poemat "Mandaryn w Czortkowie". Oddaje on klimat tego miasta w latach 30-tych ub. wieku, zwyczaj i nostalgie jego mieszkańców widziane oczyma krytycznego, choć zaangażowanego obserwatora.

Wiersz ten często odtwarzany z okazji lokalnych imprez, wykonywany był z talentem przez oficera miejscowej jednostki KOP-u. Ubrany w chiński strój, ucharakteryzowany na mandaryna, śpiewał:

Jam Mandaryn, do Czortkowa
przyjechałem z Chin,

⁷ W gimnazjum tzw. starego typu (tj. przed reformą) mundurki były nieco inne. Na czapkach orzełek, a klasę określała liczba pasków naszytych na stojącym kołnierzu marynarki; srebrne w klasach niższych, złote w wyższych od klasy V (przyp. red.).

bo tu rodzi się myśl zdrowa,
każdy wielki czyn.

O przedszkolu dla młodzieży
marzy grono pań,
zatem słowo, jak należy,
stań się ciałem, stań! [...]

Tyle pozostało mi w pamięci z tego poematu. Nic więcej niestety nie zapamiętałem z bogatej kolekcji literackiej Profesora. Niemniej chciałem jak najwierniej przekazać zainteresowanym, jak takie

LATAWCE – DMUCHAWCE,
nigdy nie wiadomo gdzie dolecą i zasieją ziarenko wspomnień.
cdn.

Od Redakcji

W "archiwum czortkowskim" członka naszej redakcji zachował się w całości ów satyryczny utwór. Doczekał się nawet w 1931 roku druku w miejscowej drukarni B. H. Ramlera i w postaci małej broszurki, w cenie 25 groszy, rozszedł się błyskawicznie wśród mieszkańców miasta. Bo Czortków był miastem wesołym i mieszkańcy mieli poczucie humoru.

POCHWAŁA CZORTKOWA

(piosenka chińska – muzyka z oper. Gejsza)

Jam Mandaryn, do Czortkowa
przyjechałem z Chin,
bo tu rodzi się myśl zdrowa,
każdy wielki czyn.

O przedszkolu dla młodzieży
marzy grono pań,
słowo zatem, jak należy,
stań się ciałem, stań!

Czortków przyznać trza,
ludzi czynu ma.

Każdy tu – chwała mu –
o swe dzieci dba.

Dzieci – to nasz świat,
to narodu kwiat.

Dzieci, w noc czy w dzień
treścią naszych śnień.

Aby spędzić tu, w Czortkowie
bodaż parę chwil,
warto – o tym w Chinach powiem –
tłuc się setki mil.

Tak tu miło, tak zacisznie,
tak rozkosznie jest,
że choć u nas kwitną wiśnie,
nie ma takich siest.

Czortków, przyznać trza,
swe powaby ma:
Każdy tu – chwała mu –
o to miasto dba.

Ref. Czortków, w to mi graj
to prawdziwy raj.

Wrażen w dzień i noc
zaznasz tutaj moc.

Gdyś tu przybył, już z tej racji
by się znaleźć tu,
obskakuje cię na stacji
dorożkarzy stu.

Ten walizkę ci wrywa,
tamten ciągnie pęd,
inny na cię batem kiwa
byś z nim w układ wszedł.

Czortków przyznać trza,
swą powinność zna.
Każdy tu – chwała mu –
o przyjezdnych dba.

Ref. Czortków, w to mi graj [...]
Już wsadzono cię do dryndy,
już się toczy wóz.

Nie są tak bezpieczne windy,
jak tych szkapin kłus.

Gdy ulicą Kolejową
jedziesz, zbądź się trwóg.
Nawet w Azji, daję słowo,
nie ma takich dróg.

Czortków z wszystkich miast
ma najlepszy wjazd.
Takich dróg, dali-Bóg,
nie miał nawet Piast.

Ref. Czortków, w to mi graj [...]
Zawsze budzą we mnie szkapy
niepokoju dreszcz.
Wszędzie straszą błotne chlapy
kiedy pada deszcz.

U nas słota czy nie słota,
U nas – to jest tam,
w Chinach zawsze pełno błota,
słowo daję wam.

Czortków przyznać trza,
o swój wygląd dba.
Bruk jak mur nie ma dziur,
sławę w świecie ma.

Zachował się również jeden z patriotycznych wierszy prof.
Ogonowskiego, zatytułowany

SIEJBA

Słońce złote na błękicie, starty nocy cień.
Już nastało nowe żucie, zbożnej pracy dzień.
Hej, hej siewco siej! Siej na roli swej!

My na szkolnej orząc niwie – dalej wszyscy wraz,
Ziarno wiedzy, ducha żywioł, siejemy pokąd czas.

Jedna nuta, jeden ton, siejba wyda plon!

Jedność, miłość, zgodność pracy, naszym hasłem czyn!
Tak Ojczyźnie dług niech spłaca każdy z nas, Jej syn!
W JUTRO wierz, a DZIŚ dniowi nie mów – "Złyś!"

Ref. Czortków, w to mi graj
to prawdziwy raj
Błota ani krzty,
jak dwa a dwa... trzy

Czortków miastem jest handlowym
każdy o tym wie.

Tu się kupczy tym i owym,
czym ktokolwiek chce.

Że tu w handlu, daję wiarę,
żywy kwitnie ruch –
zwłaszcza jak ten ruch towarem,
doszedł mnie raz słuch...

Czortków przyznać trza,
swych dostawców ma.
Żebyś miał, czegoś chciał
ktoś już o to dba.

Ref. Czortków, w to mi graj [...]
Światłodawców tu bez liku,
że zmądrzał by muł;
więc nastroju elektryką
nie będę wam psuł.

Czortków – nie Tiencin
wzorem jest dla Chin.
Mówię to bez kpin.

Czortków – perła miast,
gardzi światłem gwiazd,
bo swe gwiazdy ma.
Każdy z nas je zna.

Bo na DZISIAJ – to czekali nasi ojciec wiek,
Z nich niejedyn w obcej dali za nie w grobie legł.
Oni o twym DZIŚ, ty o JUTRZE myśl!

I do książki, młota, kielni, dalej! Bo czas mknie.

W pokojowej pracy dzielni dziś okażmy się.

Hej, hej, siewco siej! Siej na roli swej!

By Ojczyzna nasza miła, gdyśmy wolni znów,
Panią Duchów-Ludów była, według wieszczka słów:
Jako, gdy szczerzył srom – drugi Boży Dom!

Tworzył też profesor drobne formy, np.

PARADOKS

W tłumie, czy nad tłumem –
sobą bądź!
Kochaj rozumem,
a sercem sądz...

Dedykował także myśli-sentencje Wieszców naszych:

Młodzieży szkolnej
w 10 Rocznicę Zmartwychwstania Polski
AD MEMORIAM

- *Kto ma duszę, niech wstanie! Niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych* (J. Słowacki);
- *O ile powiększycie i polepszycie duszę Waszą, o tyle polepszycie prawa Wasze i powiększycie granice* (A. Mickiewicz);
- *Idź i czyn! Choć serce Twoje wyschnie w piersiach Twoich – choć zwątpisz o braci Twojej – choćbyś miał o mnie samym rozpaczać – czyn ciągle bez wytchnienia!* (Z. Krasiński).

a prócz tego łacińskie sentencje pisarzy rzymskich.

TAKIE BYŁO WÓWCZAS NA KRESACH MŁODZIEŻY CHOWANIE.

* * *

Na koniec informacja o losach pięknej i bogatej biblioteki prywatnej prof. Ogonowskiego, w relacji śp. Marii Moroz – nauczycielki Tajnego Nauczania podczas II wojny światowej w Czortkowie.

[...] *Duże stosunkowo trudności wynikały z braku potrzebnej ilości podręczników, zwłaszcza lektur szkolnych. Istniała wprawdzie Biblioteka TN, stworzona przez Janinę Sawicką, ale ilość potrzebnych książek była niewystarczająca. Problem został złagodzony, gdy udało się uratować trochę książek ze zdevastowanej przez okupantów prywatnej biblioteki prof. Ogonowskiego – polonisty przedwojennego gimnazjum. Księgozbiór profesora, stanowiący po jego śmierci własność szwagierki, p. M. wyrzucono w nieładzie na strych jej domu, z którego została wysiedlona i książki stopniowo niszczone, traktując je jako makulaturę.*

Urząd, w którym wówczas oficjalnie pracowałam, mieścił się właśnie w tym domu. Gdy dowiedziałam się o losie biblioteki, zakradałam się na strych (niekiedy w czasie pracy) korzystając z tego, że woźny był Polakiem i ratowałam ze stosu podartych książek co się dało. Zdobyłam w ten sposób (wprawdzie niekompletne) dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida i inne.

Profesor Ogonowski – wspiały człowiek, poeta i wielki przyjaciel młodzieży, pomagał mi chyba z za grobu poprzez te uratowane książki⁸.

Józef Żywina
Anglia

Jarmark w Czortkowie

Ilekróć pomyślę o swoich stronach, budzi się we mnie zachłanność mojej własnej ziemi z Podola. Jeśli przychodzą mi na myśl tamta okolice, to zawsze widzę wszystkie jary, zawile wstęgi Zbrucza i Seretu, skaliste wybrzeża Dniestru, skupione wsie i ludzi, najpracowitszych w świecie, ludzi w parcianych po kolana koszulach. Nie zapominam też nigdy o moich miastach – o Tarnopolu, Czortkowie, Zbarażu, Zaleszczykach i o Kopyczyńcach, spod których wywlokłem swoją biedę w świat. Nie zapomnę również o Probuźnej i Chorostkowie, które były dlatego tylko nazwane miastami, ponieważ mieszkało w nich najwięcej Żydów i ponieważ odbywały się w nich najpoważniejsze doroczne jarmarki. Najwięk-

⁸ I. Kotowicz *Tajne nauczanie II (u Dominikanów) w Czortkowie* "Głosy Podolan" nr 44 – 46, 2001.

szym jednak jarmarkiem na całe okolice były targi na św. Piotra w Czortkowie.

W dniach poprzedzających targi zjeżdżali kupcy podobno z całej Polski i wystawiali na pokaz swoje fatałaszkę. Rozbijano kramy wzdłuż jezdni i na placach. W ślad za kupcami ciągnęli handlarze bydła. Jechali na kruchych furmankach, jechali po piętnastu i więcej na jednokonce i byli przeważnie ochrypli i kłótlwi.

Potem zjeżdżały się różne typy i szykowały swoje bazy wypadowe. Byli to ludzie żyjący z czyjejs wyrżniętej brzytwą kieszeni i trzech kart. W ich kalendarzach były podkreślane wszystkie daty jarmarkowe i odpustowe. W ich myślach doskonale spamiętane były wszystkie miejscowości z całego Podola, w których można było się sownie obłowić na naiwności chłopca.

Potem już jechali ludzie ze wszystkich okolicznych wsi, aby sprzedawać i kupować, oraz akademicy, aby organizować bojkot targów, które były przeważnie żydowskie.

I szło już wszystko w swoim porządku – sprzedawało się, kupowało i bojkotowało i nikt nikomu mimo wszystko nie przeszkadzał. Było wszystko zupełnie po angielsku, demokratycznie, a myśmy o tym nie wiedzieli.

Było to właśnie w okresie wakacji; Czortków był siedzibą mojego gimnazjum. Mieszkałem na wsi, ale na świętego Piotra musiałem być na targach. Ponieważ wozy były obładowane, aż trzeszczało, musiałem iść dwanaście kilometrów na piechotę.

Po wschodzie słońca robił się ruch. Dzieciarnia we wsi przypominała rodzicom o latających balonach, trąbkach i korkowych pistoletach. Jarmark ten był przede wszystkim dorocznym przywilejem dzieci. Był jeszcze odpust świętego Antoniego w Husiatynie, ale właściwie Czortków dla nas był ważniejszy. Poza tym był to przeważnie dzień, w którym sześć, albo siedmioletnie dziecko wsi bywało po raz pierwszy w mieście. Ponieważ byłem dobrym drabem już w piątym roku życia, przeto zaszczytu wejścia do miasta dostąpiłem o wiele wcześniej niż moi rówieśnicy. Zazdrościli mnie, a ja udawałem, że mi to nie imponowało, chociaż szalałem z radości mimo silnych batów, które wyfasowałem potem od ojca za to, że się zgubiłem, aż odnalazł mnie w innej wsi dnia następnego.

Na wsi zostawali tylko starzy i niegrzeczne dzieci.

* * *

Był to już okres, kiedy na wsi uchodziłem za poważnego kawalera. Byłem przecież jednym z nielicznych, którzy uczyli się

w mieście i miałem skończonych siedemnaście lat. Był to już drugi rok, kiedy na jarmark umówiłem się z moją rówieśnicą. Stać mnie było na to.

Wyszliśmy z rana. Po drodze wlokły się sznury furmanek. Ciągnęły się nieskończone łańcuchy pielgrzymów. Cavaleria rusticana prowadziła swoje dziewczyny i perliły się po drodze okrzyki i śmiech. Dziewczęta wytargowywały prezenty. Chłopcy im wszystko przyrzekali i spieszyli się, bo w mieście czekały karuzele, huśtawki i kolorowe łańcuchy. Jeśli ktoś nie chciał się narazić swojej wybranej, musiał postawić się na głowie i postarać się o to, czego żądała. Z pomocą kawalerom przychodzili zawsze ich rodzice, wyznaczając na ten dzień nadzwyczajny dodatek do kawalerskiego budżetu swojego syna, jeśli jego narzeczona była godna zachodu. Ja nie mogłem co prawda mieć jeszcze oficjalnej narzeczonej, ponieważ byłem uczącym się gołowąsem, ale moja chytra zapobiegliwość pomagała mi we wszystkim. Ponadto pomagała mi moja partnerka, która uważała, że warto być w stosunku do mnie oględniejszą, byłem ją trzymał przy sobie i nadszakiwał jej po miastowemu. Robiłem wszystko, starałem się nawet w tym okresie żyć w zgodzie ze wszystkimi swoimi ciotkami we wsi i okolicy, co wydatnie zwiększało moje możliwości finansowe.

Do Czortkowa schodziło się ze stromego jaru. Miasto leżało w dolinie i widoczne było jak na dłoni. Było podobne do olbrzymiego garnca, na którego dnie rozsypane były domy, powykreślane ulice i krzatali się śmieszni mali ludzie. W powietrzu przelewał się zgiełk i sięgał najwyższych szczytów wzgórz. Kiedy patrzyło się na dół pod słońce, wszystko wyglądało jak kolorowa plama. Potem, kiedy zeszło się między domy, nie słyszało się już nic. Ścisk, krzyk, nawoływania i porykiwania oszołomionych zwierząt zabijały słuch.

Od tej pory trzeba się już było pilnować. Wszystko czekało na człowieka, przybywającego do miasta.

Na błoniach porozstawiany sprzęt gospodarskiego użytku. Drabiny, nowiutkie wozy, uprzęże, pługi. Beczki, wiadra, skrzynie, kufry, garnki, garnuszki, talerze. Na innych błoniach – jarzyny, czereśnie i wczesne jabłka. Batiarnia miejska napada chmarami i żartobliwie straszy sprzedających. Spróbuj obrazić się. Zaczną napastować naprawdę, a wtedy lepiej spakować się i co rychlej jechać do domu.

Ulicami trudno się przepchać. Oto jakiś wieśniak wywalił na kolano swego synka i łoi pasem za to, że mu podstrzelił ucho z kupionego przed chwilą korkowego pistoletu. Dzieciak drze się w niebogłosość, a interweniuje kobieta, pewno jego matka i zaczyna się

klótnia małżeńska. Robi się zbiegowisko gapiów. Nagle podnosi się wrzask, bo oto w tym samym momencie jakiś drań wyciął żyletką kieszeń mojego sąsiada, zabierając wszystkie pieniądze. Zadowolony z tego bity przed chwilą brzdąc, daje nura w tłum i przepada na cały dzień zmartwionym rodzicom. Zrozpaczony chłop wzywa pomocy policji, ale już go nikt nie słyszy. Robi się drugie zbiegowisko wokół nieszczęsnego hucuła, któremu wycięto całe plecy w kożuchu. Żal mi go, ale któż to widział chodzić w kożuchu na taki upał.

Podchodzi do mnie mój sąsiad i ostrzega: *Ta kobieta ma inkluzę. Nie bardzo wiem o co chodzi, ale on mi tłumaczy, że inkluzę, to jest taki pieniądz, który ściąga wszystkie pieniądze z cudzej kieszeni do swego pana. To sprawa z diabłem. Przychodzi taka zdzira z dziesięciozłotówką i prosi, aby jej zmienić. Zmieniasz jej te pieniądze nie przeczuwając nieszczęścia. Potem ona odchodzi, a ty po pewnym czasie stwierdzasz, że wszystkie twoje krwawo zapracowane pieniądze diabli wzięli. Wtedy ci już nikt nie pomoże – nawet policja. A zwróć jej uwagę na to, że ma z diabłami spółkę, to ci zrobi raban i będzie grozić sądami.* Jasna rzecz, że taka baba z “inkluzem” była postrachem dla wszystkich chłopów i mieli się przed nią na baczności.

Na innym miejscu grają w trzy karty. Gruby facet przebiera sprytnie kartami, a wokół pełno chłopów. Podpatrują jak on to robi. Opanowuje ich gorączka wygranej. Za złotego – dwa, za dwa – cztery, za pięć – dziesięć. Któż by nie chciał wygrać? Coraz to któryś podpatrzy, stawia złotówkę na kartę, podnosi i – zawsze czyta. Chce się odegrać – stawia dwuzłotówkę na jedną z dwu pozostałych kart i podnosi też czystą. Rozpala się, gra jeszcze kilka razy, aż po kilku minutach staje się skończonym hołyszem. Przychodzi jego baba, bo ktoś jej doniósł, że mąż przegrywa i chce go odebrać od gry. Robi to oczywiście z hałasem i biadoleniami. Chłop się denerwuje, napastuje najpierw karciarza, a potem swoją babę, bo *gdyby nie ona to wszystko byłoby w porządku.* Kobieta zdaje się w to wierzy i lamentując odchodzą oboje. Tymczasem gra idzie w dalszym ciągu. Klienci są teraz ostrożni. Nie mają zaufania. Ale przychodzi jakiś facet i stawia na jedną z kart. Wygrywa. Stawia potem znowu – i znowu wygrywa. Syn sołtysa stwierdza, że to ich kupiony batiar i naumyślnie wygrywa. Na pewno mówi prawdę.

Do stolika zbliża się jegomość, po którym poznać zamożność wiejską. Wyciąga wór pieniędzy i mówi, że będzie grał. Ma kupę dolarów. Zacznie od dziesięciodolarówki, a jeżeli dobrze pójdzie to zagra potem więcej. Gapiom oczy na wierzch wylażą, karciarz zaciera ręce, a gracz z dziesięciodolarowym banknotem uśmiecha się

i jest strasznie zadowolony. Grają. Chłop stawia dolary i podnosi kartę. Karta z czerwoną lalką. Wygrana! Następuje wypłata wygranej. Karciarz czeka na podwyższoną stawkę, ale ten chłop nie darmo jest bogaczem, wie, że go batiar wziął na przynętę, dając mu wygrać. Uśmiecha się jeszcze chytrze, chowa pieniądze do kieszeni, mówiąc: *Akurat mi tyle na dziś brakowało. Dziękuję wam, dziękuję* – i chce odchodzić. Natychmiast obskakuje go batiarnia i grozi pobiciem za niedotrzymanie słowa. Miał przecież grać w dalszym ciągu, jeśli wygra. Kto wie jak by się to skończyło, ale ktoś zauważył policję. Gracz z batiarnią momentalnie giną w tłumie i chryja z pobiciem nie dochodzi do skutku. Syn sołtysa mówi: *Bogacz zawsze ma szczęście.* Znowu mówi prawdę, bo wyobrażałem sobie, że ten z dolarami mógł dobrze oberwać i stracić w tej awanturze wszystkie swoje pieniądze.

Uroczą Haneczka, moja dzisiejsza przyjaciółka i siostra mego rówieśnika – sołtysowicza, ciągnie mnie za rękę. Wchodzimy na inny plac z cyrkiem, ale szybko zabieramy się stamtąd, bo ona nie może patrzeć jak pewien czarny olbrzym mieczem przebija młodą dziewczynę a sam zjada szkło. To ją zdenerwowało. W ogóle zaczyna mi zawracać głowę. Na karuzelę nie pójdzie, ponieważ córce sołtysa nie wypada. Chodzić też nie może, ponieważ czuje się zmęczona. Stwierdzam z przerażeniem, że ona naprawdę poczyna sobie ze mną po miastowemu i ciągnę ją do knajpy.

Opadają nas cyganki. Hanka stwierdza, że one dobrze wróżą. Pozwalam, niech nam wróżą. Jej, Hance wróżą czworo dzieci ze mną, a mnie tyleż z nią i jeszcze jedno albo dwoje z inną. Potem Hanka musi zostać z cyganką sama na dalszy ciąg wróżby. Nie wiem, co jej powiedziała, ale potem, po wielu miesiącach mówiono w całej wsi, że Hanka dała mi się napić jakichś czarów. Zdaje się, że coś tam było, w czary nie wierzę, ale zawsze coś musiało być, skoro nie chciałem wracać do gimnazjum, a chciałem się z Hanką żenić. Szczęściem wybili nam to z głowy, matka moja ciężkimi lamentami, a jej ojciec nie wiem czym, chociaż wiem, że strasznie płakała. Spotykaliśmy się od tej pory w jej ogrodzie w krzewach dzikich róż, gdzie skarżyliśmy się nawzajem na własny los. Ten cały jarmark czortkowski dobijał mnie przez dłuższy czas i chodziłem jak struty. Haneczka szeptała mi ciągle o czworgu naszych przyszłych dzieci i robiła wyrzuty za dwoje z inną. Było nam mimo wszystko bardzo dobrze, chociaż następnego dnia leciały na nasze głowy ciężkie strofy morałów naszych rodziców.

Z owej knajpy zabrałem ją na plac targowy. Robiliśmy zakupy. Robiłem oczywiście ja, gdyż byłem miastowym i znałem się na rzeczach. A jej się wszystko podobało.

Dzień się zaczął przechylać ku zachodowi, kupcy na straganach pochrypli i zwoływali kupujących już tylko na migi. Wszyscy byli zmęczeni krzykami i całodziennym chodzeniem. Wszystko zabierało się z powrotem na wieś. Tłumy wspinały się pod górę. Dzieciarnia - wszystkie sześciolatki - skarżyła się na zmęczenie nóg. Po polach rozprzestrzenił się gorący zapach dojrzewających zbóż i rozsnuwał się żywiczny oddech świerczyny. Wracaliśmy do domu. Nie wiem dlaczego poszliśmy z Hanką miedzami, a potem ścieżką. Słońce już dogasało i czuć było gęstą rosę, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu jej domu. Ale dopiero ciemny wieczór nas otrzeźwił. Rozmawialiśmy w ogrodzie o wielu rzeczach; omijałem starannie tematy z cygankami, chociaż wiedzieliśmy oboje, że nam najbardziej odpowiadają, aż wreszcie rzekła:

- Józek, wiesz?
- Co?
- Ty nic nie wiesz. - Rzeczywiście nie wiedziałem nic. Ale potem znowu przedrzeźniała się ze mną.
- Jesteś wstrętny - patrzyła niecierpliwie w oczy. Nie wiedziałem nic. Głupiałem, byłem przecież sztubakiem. Aż wreszcie zdenerwowała się:
- Coś ci powiem - jesteś z miasta, ale jesteś strasznie głupiutki. No nie mamy czasu, trzeba iść do chaty. Masz!

Objęła mnie w pośpiechu oddając pocałunek w same usta i uciekła. Urzekła mnie i wiedziałem, że najprawdopodobniej byłem jeszcze bardzo głupi ale i bardzo szczęśliwy mimo wszystko. Powlokłem się do domu.

* * *

Ilekcioć pomyślę o tych targach czortkowskich, to widzę wszystko - moje miasto, moich ludzi, cały mój świat, taki serdeczny i taki teraz daleki. Teraz od kilku lat na pewno nie odbywają się żadne targi. Nie ma na pewno rejwachu żydowskich straganiarzy. Akademy nie organizują bojkotu. Chłopi nie wyjeżdżają do miasta w pysznej bieli parcianych koszul. Dzieciarnia nie czeka na swoje prezenty świętopiotrowe. A gdzie są kartograje z trzema kartami? A gdzie baba z inkluzem? A Hanka? - Hanka wyszła dawno za mąż i miała dwoje dzieci. Męża wywieźli na Sybir. Widziałem ją wtedy jeszcze, kiedy cała wieś wyprowadzała mnie z płaczem z do-

mu, jak nieboszczyka. Odjeżdżałem do więzienia. Odprowadzano mnie ze wszystkimi przepisami, należnymi odchodzącemu na cmentarz.

Hanka płakała też. A potem jej już nie widziałem. Nikogo. Zostali wszyscy na mojej ziemi splakanej i umęczonej. Przy mojej matce i przy mojej ziemi zostało także moje serce.

Anna Bidna
Złoczów - Ukraina

Zachowajmy Złoczów w pamięci

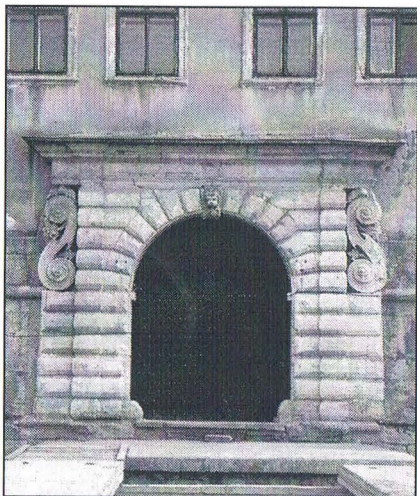
Miasto i jego historia

Jeszcze dzisiaj w Złoczowie można znaleźć dużo polskich śladów, przede wszystkim piękny popijarski kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i św. Jacka (patrona miasta); kościół farny zamieniony w r. 1838 na cerkiew unicką pw. Zmartwychwstania Pańskiego; cerkiew z końca XVI w. pw. św. Mikołaja znajdująca się na wałach miejskich oraz zamek-pałac - budowle wzniesione głównie przez Jakuba Sobieskiego.

Powiatowe miasto Złoczów w województwie tarnopolskim (obecnie w obwodzie lwowskim) położone jest 70 km na wschód od Lwowa w kotlinie nad rzeką Złoczówką (dopływ Bugu), przy linii kolejowej Lwów-Złoczów-Tarnopol. Przez południowo-wschodnią część miasta biegną wzgórza Gołogór i Woroniaków zbudowane z utworów wapieni kredowych.

Pierwsze wzmianki o Złoczowie przypadają na 1441 rok. Była to wtedy wieś, własność rodziny Sieniawskich. W r. 1523 Stanisław Sieniawski sprzedał dobra złoczowskie wraz z miastem i warownią (cum fortalitio) Jędrzejowi Górcce, kasztelanowi poznańskiemu. W 1528 r. Król Zygmunt I nadał osadzie przywileje miejskie, tzw. prawa magdeburskie. Od Górków dobra złoczowskie nabył Marek Sobieski, wojewoda lubelski. W r. 1734 dobra te przeszły na Marię Karolinę de Bouillon, która odsprzedała je ks. Michałowi Kazimierzowi Radziwiłłowi "Rybeńce", a w r. 1772 dobra te przejęła księżna Sapieżyna. Po zajęciu Złoczowa przez wojska austriackie kościoły i klasztory zostały zamienione na magazyny i koszary. W tym czasie miasto bardzo podupadło. W 1802 r. Złoczów odkupił od rządu austriackiego Łukasz Komarnicki, radca

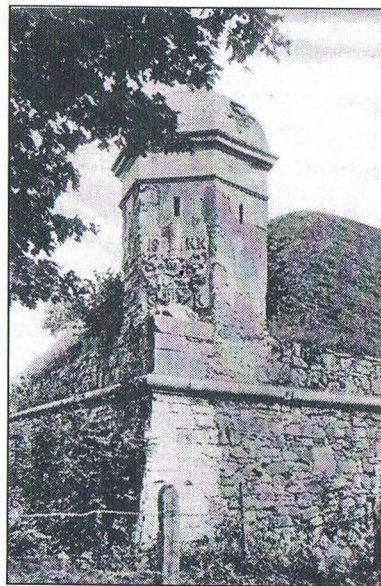
apelacyjny ze Lwowa, który odremontował pałac i przyczynił się do rozbudowy miasta. W połowie XIX w. zamek przejściowo znalazł się w ręku Żydów i został wynajęty na koszary. W 1872 r. prezes Pożniak skłonił rząd austriacki do wykupienia i wyremontowania pałacu. Po przebudowie w budynku mieszkalnym, kaplicy i kazamatkach umieszczono biura sądowe i więzienie. Taką też funkcję pełnił aż do lat powojennych. Następnie został przekazany na cele muzealne.



Portal bramy zamkowej

regularnym planie zbliżonym do kwadratu, z wysokimi wałami i czterema bastionami o prostych basztach na narożach z wieżyczkami strzelniczymi. W obrębie dużego dziedzińca wznosił się przy zachodnim murze kurtynowym długi wąski murowany, dwukondygnacyjny budynek mieszkalny. Obok niego stoi ośmiokątny budynek prawdopodobnie dawna kaplica lub cekhaus (często określane także mianem pałacu chińskiego). W wałach umieszczone były kazamaty.

Zamek położony jest na płaskowyżu nad rozlewiskiem dużego stawu na południowo-zachodnim krańcu miasta. W końcu XVI w. stało tam drewniane fortalicjum. W r. 1635 Jakub Sobieski, wojewoda ruski, zbudował zamek murowany. Była to wczesnobarokowa twierdza – rezydencja, pełniąca zarazem funkcję cytadeli. Wzniesiona została na

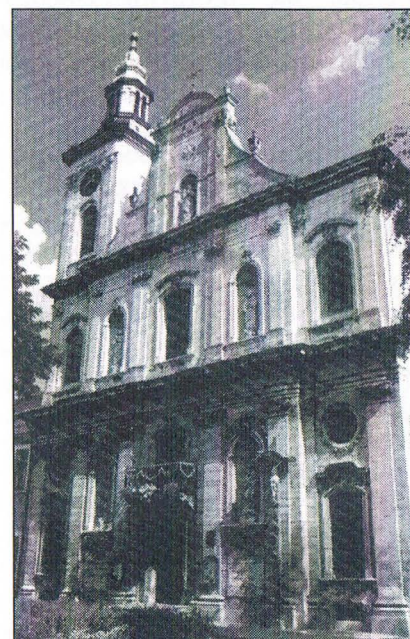


Bastion zamkowy

Kościół

Budowę kościoła farnego w stylu renesansu rozpoczął w 1604 r. Marek Sobieski, wojewoda lubelski, ukończył ją w r. 1624, a parafię ufundował Jakub Sobieski, starosta krasnostawski. Obecny kościół parafialny, konsekrowany w r. 1839, pw. Wniebowzięcia NMP był dawniej kościołem zakonu pijarów. Po kasacji klasztoru w 1788 r. budynki zajęły urzędy austriackie, a kościoły zamieniono na magazyny. Rząd austriacki w 1838 r. odstąpił kościół parafialny greko-katolikom na ich cerkiew. Cerkiew ta pw. Zmartwychwstania Pańskiego jest czynna do dziś. Równocześnie łacińskim katolikom przekazał kościół pijarski. Gdy dawny kościół farny został zamieniony na cerkiew parafię przeniesiono do kościoła pijarskiego. Przeniesiono też wtedy z kościoła farnego dzwon, ufundowany przez króla Jana III Sobieskiego, a odlany w 1693 r. w Gdańsku, jako pamiątkę po rodzie Sobieskich.

Kościół pijarski jest wspaniałym przykładem XVIII wiekowej architektury. Znajduje się w centrum miasta Złoczowa w obrębie murów miejskich z XVI w.



Fasada kościoła w Złoczowie

Od północy przylegają doń zabudowania klasztorne, a od wschodu kolegium oo. Pijarów. W 1839 r. świątynię ponownie konsekrowano. W 1878 r. fasada kościoła została w znacznym stopniu przebudowana. W wyniku tej przebudowy do kościoła dostawiono od frontu jedną wieżę, tworząc charakterystyczny asymetryczny układ. Obecna fasada kościoła jest wykonana z białego kamienia ciosanego. W jej narożu widnieje czworokątna wieża z barokowym hełmem, która góruje nad miastem. Ponadto wieża udekorowana jest olbrzymim zegarem z rzymskimi cyframi.

Wnętrze świątyni w stylu nowego baroku stanowią trzy nawy o sklepieniu łukowym wspartym na kwadratowych kolumnach. Nawa główna wysoka, szeroka, dłuższa niż

boczne. W nawie głównej nad wejściem do kościoła znajdują się schody na wieżę i chór muzyczny. Na jednym z filarów kościoła bogato rzeźbiona ambona z licznymi złoceniami.



Ołtarz główny w kościele
w Złoczowie

W głównym ołtarzu do końca wojny znajdował się obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, ufundowany przez wileńskiego arcybiskupa Hryniewieckiego. W 1945 r. podczas przesiedlania Polaków obraz został zabrany przez proboszcza K. Gruszeckiego do Polski i do dziś znajduje się w Białej koło Gorlic. Obecnie w głównym ołtarzu króluje Madonna Sykstyńska. Nad stołem ofiarnym złożone tabernakulum, a wyżej wznosi się olbrzymi złożony i inkrustowany krzyż z rzeźbą Chrystusa Ukrzyżowanego; po obu stronach ołtarza naturalnej wielkości figury świętych.

Obie nawy boczne wyposażone są w ołtarze, każdy pod innym wezwaniem. Wielką czcią w tym kościele otoczony jest ołtarz św. Antoniego, przed

którym wierni tak chętnie się modlą i dziękują za otrzymane łaski. W nawie południowej znajduje się za prezbiterium zakrystia, w północnej - dawny barokowy ołtarz z nawy głównej. Między ołtarzami płaskorzeźby stacji Męki Pańskiej.

Uwagę zwracają: piękna barokowa ambona z licznymi złoceniami, stare obrazy, rzeźbione konfesjonały. Bogaty wystrój świątyni stwarza niepowtarzalny klimat - nastrój modlitewny - zadumy nad życiem.

Po II wojnie światowej, dzięki obecności i ofiarności gorliwego, nieustrzonego kapłana śp. ks. biskupa Jana Cieńskiego, ocalały od pożogi wojennej kościół jako jeden z nielicznych na Ukrainie nie został zamknięty i odprawiały się w nim nabożeństwa. Dzięki temu zachowało się pełne wyposażenie świątyni, a i sama budowla przetrwała w stanie zadowalającym.

W latach 1994–1996 w kościele przeprowadzono prace remontowo-konserwatorskie. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu wielu ludzi z parafii, świątynia powraca do swojej pierwotnej świetności.

Warto jeszcze wspomnieć, że doroczny odpust parafialny przypada 15 sierpnia w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

*Kazimierz Dąbrowski
Częstochowa*

Oknem pielgrzyma

Relacja z wyprawy na Kresy

30.05 – 08.06.2006 r.

Cz. III

W godzinach popołudniowych dojeżdżamy do Berdyczowa. Najpierw odwiedzamy kościół św. Barbary. W tym kościele w 1850 r. Honoriusz Balzak brał ślub z Ewelina Hańską. Na zewnętrznej ścianie świątyni jest tablica upamiętniająca to wydarzenie.

Następnie idziemy do klasztoru oo. Karmelitów Bosych, gdzie znajduje się kopia słynącego cudami obrazu Matki Boskiej Berdyczowskiej. Obraz ten umieszczony jest w małej kaplicy, podobnie jak Matki Bożej w Częstochowie. Oglądamy go przez zamkniętą żelazną kratę.

Oryginał obrazu zaginął w 1941 r. Po bezskutecznych poszukiwaniach odtworzono jego kopię. Namalowała ją krakowska artystka Bożena Mucha-Sowińska. Kopię poświęcił papież Jan Paweł II w 1997 r. w Krakowie, w kościele św. Jadwigi.

Wnętrze dużego klasztornej kościoła wypełnione jest rusztowaniami, trwają prace remontowe. Robotnicy spieszą się, chcą zakończyć wszystko przed uroczystościami Maryjnymi. Serce rośnie na widok krzątających się tu zakonników i ubielonych wapnem robotników. Dziedzinec klasztorny – to jeden wielki plac budowy. Całością prac kieruje ojciec Tobiasz, konserwator zabytków i historyk sztuki sakralnej.

Do Połonnego przyjeżdżamy z dwugodzinnym opóźnieniem, a mimo to czeka na nas duża grupa miejscowych Polaków. Przed

domem parafialnym witają nas uroczyście korowajem i zapraszają na poczęstunek. Jest kawa, herbata, ciastka i kanapki. Spożywając posiłku umila koncert wokalny. Pani Franciszka, miejscowa nauczycielka ma piękny głos i bogaty repertuar polskich kresowych pieśni. Po tak serdecznym przyjęciu i wspólnych tańcach przed kościołem, nie chcieliśmy się żegnać. Odjechaliśmy dopiero o zmroku.

Nasze opóźnienie narasta. 30 km przed Sławutą jest Szepetówka, z pięknym nowym kościołem i klasztorem sióstr Józefitek. Część pielgrzymów pozostaje w klasztorze na nocleg. Pozostałe, w zupełnych już ciemnościach dojeżdżają do Sławuty.

Ks. Jan, proboszcz parafii, nie kryje swego niezadowolenia z naszego spóźnionego przyjazdu. Wyraźnie nas strofuje. Nie ma też "komitetu powitalnego", zostało tylko kilka wytrwałych pań. Ksiądz sprawnie przydziela nam miejsca noclegu u swoich parafian. Ja z dwoma innymi panami dostaję przydział na plebanii. Proponuję księdzu pomoc w przygotowaniu kolacji i wkrótce zasiadamy do stołu.

W parafii jest młody wikary, Ukrainiec, dobrze mówiący po polsku. Zanim wstąpił do seminarium duchownego, pracował jako felczer trzy lata w wiosce. Ma dobry kontakt z parafianami.

Podczas smacznej i obfitej kolacji obaj księża opowiadają o swojej pracy, o stosunkach z miejscową Cerkwią prawosławną i mieszkańcami Sławuty. Kiedy ksiądz proboszcz dowiedział się, że jeden z nas mieszka od wielu lat w Niemczech i dobrze zna język niemiecki, poprosił o pomoc w zredagowaniu pisma do katolików niemieckich.

Sławuta – to tygiel religijno-narodowościowy. Walka o pozyskanie wiernych daleka jest od fair play i czasami przybiera bardzo ostre formy. Opowiedziano, jak doszło między dwoma batuszkami obrządku prawosławnego do rękoczynów na środku ulicy. (W Sławucie jest ich dziesięciu). O nienawiści do katolików lepiej nie wspominać.

Kościół w Sławucie jest fundacji Sanguszków, świadczą o tym zachowane marmurowe tablice wewnątrz kościoła. W czasie władzy sowieckiej w kościele był magazyn soli, co doprowadziło do ogromnych zniszczeń (zawilgocenie ścian). Ksiądz Jan od kilkunastu lat walczy ze skutkami działania soli, ale efekty są niewielkie.

Kościół ma oryginalną budowę, trójpoziomą. Pod całym kościołem są głębokie podziemia, udostępnione zwiedzającym. Nad prezbiterium – półkolista balkon. Nad nawami bocznymi – liczne pomieszczenia, w których ksiądz urządza muzeum. Potem pro-

boszcz prowadzi nas na zdewastowany cmentarz, obok którego funkcjonuje bazar. Niedaleko znajduje się zniszczony park pałacowy, własność rodziny Sanguszków. Przechodnie przyglądają się nam nieufnie. Dowiadujemy się o ostatnich zajściach teraz – w niepodległej Ukrainie – o krwawych porachunkach (nie wiadomo na jakim tle) między Ukraińcami a Cyganami. Mianowicie doszło do wymordowania całej rodziny cygańskiego barona.

Ks. Janowi miejscowe władze też nie umilają życia, a niektórzy "beznesmeni" wręcz grożą. Ale ksiądz się nie poddaje. Jak długo wytrzyma?

[...] Powstał tu pałac Sanguszków o poważnej, mocnej strukturze. Ogromny gmach [...]. Cały szereg sal, gdzie na każdym kroku miałeś wspomnienia wojen toczonych przez Sanguszków za Sobieskiego. Bitew, gdzie Sanguszkowie z ks. Józefem (Poniatowskim) i Kościuszką gromili wroga. Wspomnienia czasu Listopadowego powstania, onych bitew pod Stoczkiem, Ostrołęką, Krasnopolem, Mołoczkami n. Narwią. Był tu obraz z Romanem Sanguszką pod Ułą walczącym. Śliczna twarz rycerza z buławą do góry wzniesioną. Takiego Romana Sanguszkę widzimy również na Matejkowskiej Unii Lubelskiej oraz na zamku Warszawskim, w owalnym portrecie. Było jeszcze dużo sztychów, gdzie wszędzie widziałeś Sanguszków na wojnie walczących. Poza galerią obrazów i sztychami istniało tu archiwum rodzinne, zawierało 1127 dokumentów [...]. Biblioteka miała kilkanaście tysięcy tomów. [...] Był tu kompletny zbiór kronikarzy polskich, Gallusa, Wincentego Kadłubka, Mateusza Cholewy, Dzierzwy, Marcina Polaka, Jana z Czarnkowa. Bogaty zbiór rękopisów [...] zbiory archeologiczne z wykopaliskami. Osobna sala mieściła tkaniny stare, kolekcję pasów słuckich [...] brązy ozdobne, swego czasu w samej Sławucie i w Zastawiu wytwarzane. Taką wartość miał pałac Sławucki.

Stary kościół parafialny stał obok i zawierał groby Sanguszków. Olbrzymi park okalał dwór i łączył się z lasami.

W Sławucie urodził się powieściopisarz Henryk Rzewuski i generał Maciej Rybiński.

Stary dziedzic sławucki, książę Roman Sanguszko, został strasznie zamordowany przez bolszewików 1 listopada 1917 r. (Przypis redakcji na podstawie: Antoni Urbański Z Czarnego Szlaku i tamtych rubieży).

Opuszczamy gościnną Sławutę i po drodze do Konstantynowa wstępujemy do Szepetówki, żeby zabrać nocującą tu w klasztorze grupę naszych pielgrzymów. Szepetówka ma 50 tysięcy mieszkańców. Parafia rz.kat. liczy 1.000 wiernych. Zwiedzamy tu

cerkiew prawosławną, która przed II wojną światową była kościołem katolickim. Ochrzczonym w nim został nasz pielgrzymkowy towarzysz – p. Krzysztof Huszcza mieszkający w Niemczech.

W Starokonstantynowie wstępujemy do klasztoru oo. Kapucynów. To również fundacja Sanguszków. Spotykamy tu starszego, brodatego misjonarza, Polaka. Opowiada nam o swojej pracy duszpasterskiej na Ukrainie, porównuje ją do podobnej pracy w Nikaragui. Tam, w wilgotnym i dusznym tropiku, często bez prądu i wody zdatnej do picia, zagrożony malarią, przeżył koszmar. Tutaj pracę uważa za odpoczynek.

Przez Chmielnicki (dawny Płoskirów) dojeżdżamy do Kamieńca Podolskiego w jarze Smotrycza. W mieście wsiada do naszego autokaru p. Stanisław – przewodnik i organista w tutejszej katedrze. Pokazuje nam nie tylko osobliwości Kamieńca i Chocimia, ale zawozi nas do miejsca gdzie Zbrucz wpada do Dniestru, pokazuje Okopy św. Trójcy, a także przedwojenną granicę polsko-sowiecką. Profesjonalnie przypomina nam historię tych ziem.

Zaobserwowałem tu ciekawy sposób uprawy ziemniaków przez miejscowych ludzi. Jeden mężczyzna przepasany sznurem ciągnie pług-radło, a drugi tymże pługiem nadaje kształt ziemi i utrzymuje bruzdę między rzędami ziemniaków. Tu czas jakby się zatrzymał.

Wieczorem spotykamy się z gospodarzami oferującymi nam noclegi. Poprzednio spotykaliśmy “detalistów”, tutaj mamy do czynienia z “hurtownikami”. Dostałem się do 10-osobowej grupy, którą wzięła do siebie pani w średnim wieku wraz z córką. Autobus zawozi nas do dzielnicy mieszkaniowej pod kilkupiętrowy blok. Panie mają mieszkanie połączone. W mieszkaniu “mamy” nocuje czterech mężczyzn i jedna kobieta, która po skończonej kolacji będzie spać w jadalni, a gospodyni przenocuje w kuchni.

W czasie spożywania posiłków (skromnych ale wystarczających), gospodyni siedzi obok nas na przystawionym zydelku i nie spuszcza z nas oka. Prawie z nami nie rozmawia. Czuliśmy się nieswojo.

Rano w autobusie dzielimy się wrażeniami z ostatniego noclegu. Jedna z uczestniczek opowiada o zdarzeniu, jakie usłyszała od swojej gospodyni. Niedawno nocowało u niej dwóch naszych rodaków. Słyszac dzwonek, otworzyła drzwi i w tym momencie zwałił się na podłogę kompletnie pijany mężczyzna. Była przerażona, bo w tym czasie męża jej nie było w domu. Przy pomocy towarzysza pijanego położyła go na łóżku, uprzednio zmieniając śnieżnobiałą pościel na kolorową, mniej elegancką. Wszystko to miało

miejsce w Kamieńcu Podolskim, a Kamieniec to nie Kijów – wieści szybko się rozchodzą. Teraz zrozumiałem rezerwę naszej gospodyni.

7 czerwca. Przedostatni dzień pielgrzymki. Po mszy św. w katedrze żegnamy Kamieniec Podolski i wyjeżdżamy do Borszczowa. Przed wojną było to miasto powiatowe. Wchodzimy do miejscowego kościoła. Na drewnianej ambonie tabliczka z polskim orłem i informacją, że ambona ufundowana została przez żołnierzy polskich z Korpusu Ochrony Pogranicza. Niedaleko kościoła pomnik Adama Mickiewicza.

W dalszej drodze zatrzymujemy się w miasteczku Tłuste. Pan Marek Cała z Kluczborka szuka tu śladów rodziny Matki, pyta napotkane starsze osoby, czy pamiętają czasy przedwojenne i okres wojny.

Dojeżdżamy do Jazłowca. Tablica na wysokiej, rozpadającej się bramie informuje nas, że znajduje się tu szpital psychiatryczny. Dziwne, dotychczas nie widziałem tu innego typu szpitala. Wewnątrz kompleks jednopiętrowych budynków w kształcie czworoboku.

W jednym ze skrzydeł budynku mieści się muzeum błogosławionej Matki Marceliny Darowskiej, założycielki Zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP. Obok muzeum znajduje się kaplica klasztorna z pięknymi schodami, umieszczonymi po obu stronach drzwi; na tylnej ścianie kaplicy prowadzą do części chóralnej. Duże okna wychodzą na park. Spiralnie wijące się schody na tle dużych jasnych okien nadają całej kaplicy niezwyklego piękna. W dużym, dobrze utrzymanym parku znajduje się mauzoleum sióstr zakonnych i Matki Darowskiej. Towarzyszy nam siostra zakonna – Polka.

Buczacz. W centrum miasta powiatowego stoi piękny ratusz z wysoką wieżą. Podobno kiedyś był powodem drwin mieszkańców Buczacza, jako że tak ogromny ratusz nie pasuje do małego miasteczka. Miejscowość jest urokliwa rozłożona na licznych pagórkach, uliczki są wąskie, kręte, ale piękne, choć nie ułatwiają jazdy kierowcom.

Prawdziwą atrakcją jest dla nas ogromny kościół pw. Matki Bożej Szkaplerznej z XVIII w. W czasach sowieckich służył za magazyn artykułów żelaznych. Katolikom zwrócono go w 1991 r. Wewnątrz świątyni odnowione trzy ołtarze, duży ołtarz główny i dwa mniejsze po bokach. Wszystkie w kolorze zielonym.

Proboszczem jest tu obecnie ks. infułat Ludwik Rutyna. Urodził się w Buczacz i w tym kościele był ochrzczony. Pokazuje nam